



DODATEK LITERACKI

DO „DZIENNIKA WILEŃSKIEGO“.

PAMIĘTNIKI WŁADYSŁAWA MICKIEWICZA (1838 — 1861).

Niemal jednocześnie ze śmiercią Władysława Mickiewicza ukazały się w druku jego pamiętniki. Wspomnienia te—jak to sam autor na wstępie zaznacza—były pisane po francusku, w tej myśli, „że dadzą sposobność ułatwić cudzoziemcom lepsze zrozumienie sprawy naszej“. To, że pamiętniki były przeznaczone dla Francuzów pociągnęło za sobą dwa następstwa. Przede wszystkim trzeba było nieraz zatrzymywać się nad szczegółami dobrze znanymi czytelnikowi polskiemu, a powtórę mówić nieraz o rzeczach bardziej interesujących Francuza niż Polaka. Mimo to Pamiętniki w tej formie jakiej są, w przekładzie polskim z oryginału francuskiego, podają wiele bardzo ciekawego materiału. Wzbudzają one zainteresowanie dzięki niepospolitemu talentowi narracyjnemu autora.

Ktokolwiek, chociażby nawet tylko przelotnie spotykał się z Władysławem Mickiewiczem, ten był uderzony niezwykłym darem opowiadania, jaki posiadał syn wieszczu. Opowiadanie, zwłaszcza o faktach z młodszych lat autora płynęło żywo i barwnie, przeplatane licznymi dygresjami i anegdotami o wybitniejszych postaciach. Te same cechy występują i w Pamiętnikach. Cel ich w ten sposób autor określa: „Im więcej znało się ludzi wybitnych, tem bardziej ma się ochotę uzupełnić lub sprostować kursujące o nich opinie...“

... Czyż nie jest do pewnego stopnia obowiązkiem, gdy się żyło w okolicznościach niezwykłych i środowisku wyjątkowym, pomóc innym lepiej je poznać. To, co dla mnie jest obrazem pełnym życia, przedstawia się obecnemu pokoleniu w mglistych kształtach, i byłoby już wiele, gdybym utrwalił kilka rysów“.

Swoje pamiętniki w ten sposób charakteryzuje: „Dzięki okolicznościom, decydującym o rodzaju tych pamiętników, podobne są one do albumu, w którym artysta szkicuje uderzające

go typy. Z nich można wywnioskować, do jakiej epoki należy artysta i jakich miał mistrzów“. O sobie samym autor stara się jak najmniej pisać i wspomina tam tylko, gdzie to było niezbędne przy opowiadaniu o innych postaciach. „Chciałbym móc mówić o innych, a nie o sobie. Niestety, jest rzeczą niemożliwą uczynić to, nie występując samemu na scenę; czynię to z żalem, gdyż jedyną moją zasługą jest to, że byłem synem wielkiego ojca i widzem niejednej rewolucji. Kreślę sylwetki ciekawych ludzi, przeżyłem z nimi niezapomniane chwile i niezwykle wypadki rozegrały się przed memi oczyma, żałuję, że czasami muszę podawać szczegóły, mające charakter autobiograficzny... Na to, by mieć prawo wprowadzać czytelników do swego prywatnego życia, trzeba grać rolę, której nie grałem“. Takie jest stanowisko autora Pamiętników. Nie chodzi mu o wysunięcie swej osoby, ale raczej o jej ukrycie. Głównym zadaniem Pamiętników jest opowiadanie o czasach i ludziach.

Na czoło postaci, o których jest mowa, występuje Adam Mickiewicz. „Wszystkie moje wspomnienia dzieciństwa i pierwszej młodości krążą koło ojca“. To też zaraz na pierwszych stronach Pamiętników mamy charakterystykę atmosfery domowej i stosunku rodziców do dzieci. Dalej zaznajamiamy się z najbliższym otoczeniem domu Mickiewiczów. „Gdy cofam się do lat młodości mojej, na pierwszym planie stają mi przed oczyma przyjaciele mego ojca, którzy zachodzili każdego dnia do niego... Nieraz zdaje mi się, że wczoraj mnie opuścili, i trudno mi pogodzić się z myślą, że mówię o nich, nie do nich. Przez kalejdoskop wspomnień przesunę wizerunki najstarszych gości poety, po większej części Litwinów, zaprzyjaźnionych z nim jeszcze z wileńskich uniwersyteckich czasów. Nie mieliśmy — dodaje Wła-

dysław Mickiewicz — wówczas owych Litwinów, żałujących dzisiaj, że ich przodkowie przyczynili się znakomicie pod Grunwaldem do pobicia Niemców, którzy marzą o tem, aby z każdej części utworzyć całość odrębną. Adam Mickiewicz porównywał podobnych sofistów do ogrodnika, któryby pracował nad tem, aby drzewo obeszło się bez gałęzi". Po tej dygresji znajdujemy sylwetki Ignacego Domeyki, Franciszka Grzymały, Dwernickiego, Dembińskiego, Ludwika Mierosławskiego, Seweryna Goszczyńskiego, Al. Chodzki oraz charakterystykę stosunków emigracyjnych po roku trzydziestym. Na uwagę zwłaszcza zasługuje żywo skreślony portret X. Adama Czartoryskiego.

Obok stosunków czysto polskich, znajdujemy opis wypadków o doniosłości powszechno-dziejowej, a więc przedewszystkiem rewolucji 1848 roku, której przypatrywał się autor pamiętników, jako chłopiec dziesięcioletni. Osoba jego ojca jednakże zwłaszcza w pierwszych rozdziałach służy niejako za wątek opowiadania. Dla tego też scharakteryzowawszy w kilku słowach republikę z roku 1848 i jej stosunek do Polski, opisuje życie Adama Mickiewicza po rewolucji lutowej, jego pracę w Bibliotece Arsenalskiej.

Obok wydarzeń o znaczeniu ogólniejszem znajdujemy wspomnienia z życia rodzinnego poety, tak charakterystyczne dla jego stosunku do literatury. Opowiada autor, że gdy raz pewnego był pogrążony w przygodach Monte-Christo, ojciec odebrał mu tę książkę, a dał ze swej biblioteki Sielanki Szymonowicza, mówiąc, „że lepiej to czytać, niż tracić czas na głupstwa". — Podobnych opowiadań z zaciśca domowego jest mnóstwo.

Niestety, wypadki na wschodzie przerwały pracę w Bibliotece i pogawędki w gronie przyjaciół — Litwinów przy wieczornej herbatce. Nie brak też tam charakterystycznych postaci ze świata francuskiego. Autor miał możność zetknąć się i bezpośrednio obeznać z osobami, które pamiętały jeszcze czasy wielkiej rewolucji francuskiej i epokę Napoleona. — Więcej miejsca poświęca autor dwom najwybitniejszym przyjaciołom Adama Mickiewicza jakimi byli dwaj profesorowie w *Collège de France*, Michellet i Quinet. Znajdujemy tu bardzo wiele ciekawych rysów charakterystycznych dla obydwu uczonych. Wiele szczegółów z życia rodzinnego więcej mogą nawet zainteresować francuzów, aniżeli Polaków. Obok tych dwóch wybitnych uczonych, przewija się cała galerja różnorodnych typów, występujących w tym czasie w salonach paryskich. Rozdziały te mają dużą wartość historyczną, ponieważ pozwalają dokładnie poznać społeczeństwo francuskie w epoce cesarstwa. Wszystkie wybitniejsze osobistości, które w tym okresie odegrały ważniejszą rolę zostały tutaj naszkicowane.

Biorąc czynny udział w życiu towarzyskiem francuskim, autor nie spuszczał oka ze spraw polskich. Przedewszystkiem interesowały go sprawy emigracyjne. Pilnie przypatrywał się życiu wychodźców polskich i notował

wszystkie zmiany, jakie zachodziły w nastrojach naszych wychodźców. Specjalny rozdział poświęcił Kraszewskiemu, podał jego charakterystykę i opisał szczegółowo ostatnie chwile jego życia.

Władysław Mickiewicz, wychowany wśród podnieconej atmosfery emigracyjnej, nie pozostał jedynie bystrym obserwatorem życia francuskiego i emigracyjnego, ale brał czynny udział w sprawach politycznych. Kierunek jego pracy został wytknięty już przez jego ojca. — Polegał on na współdziałaniu z rewolucjonistami europejskimi nad przywróceniem wolności Europie, a przez to zdobycia niepodległości Polsce. A przedewszystkiem stałe szerzenie idei niepodległości Polski wśród społeczeństw europejskich. W tymże celu autor wchodzi w stosunki z rewolucjonistami i wybitnymi działaczami włoskimi i węgierskimi, oraz wydaje w Genewie dziennik „*L'Espérance*". Program tej gazety najlepiej scharakteryzował Cavour, mówiąc: „Czytuję dziennik panów. — Jest redagowany z talentem. Jednakże nie mógłbym mu patronować, ponieważ przy każdej sposobności upomina się o prawa Polski. Plakałem na wieść o wzięciu Warszawy, ale nie mogę dziś rzucać rękawicy Prusom i Rosji".

Również zasługuje na uwagę stosunek Czechów do sprawy polskiej. Tak o nim opowiada Wł. Mickiewicz: „Franciszek Polacki złożył mi w Genewie wizytę. Powzięłem wówczas po raz pierwszy pojęcie o tej właściwości umysłu Czechów, że nie wierzą w cuda potęgi moralnej i ratunku spodziewają się tylko od sił materialnych; tłumaczy to, dla czego tak długo ulegli hipnozie Rosji".

Pracując na emigracji nad szerzeniem idei polskiej w Europie, zapragnął Wł. Mickiewicz odwiedzić kraj rodzinny. O przedostaniu się do zaboru rosyjskiego ze względu na stosunki polityczne nie mogło być mowy, można było jedynie ograniczyć się do zwiedzenia X. Poznańskiego. Autor dał w swych pamiętnikach ciekawy opis stosunków panujących w tej dzielnicy i nakreślił kilka charakterystycznych sylwetek najwybitniejszych osobistości w Wielkopolsce.

Wkrótce potem udał się na wschód, aby odwiedzić miejsce śmierci swego ojca i przyrzucić się życiu Polaków w Turcji. Barwnym opisem Konstantynopola, charakterystyką Sadyka — paszy autor kończy pierwszy tom pamiętników.

Z pobieżnego przeglądu ich widzimy, że zawierają one bogatą treść, która może zainteresować zarówno badacza literatury, jak i historyka dziejów politycznych. Znajdujemy tam przedewszystkiem charakterystykę Adama Mickiewicza i jego otoczenia w ostatnich latach życia poety, a następnie barwny obraz życia francuskiego. Najwięcej materiału będzie miał historyk emigracji polskiej, wydobędzie on tu wiele szczegółów o poszczególnych osobistościach i nastrojach w obozie wychodźców. — Z niecierpliwością będziemy czekać na ukazanie się dalszych tomów. K. Chodynicki.

Krzak róży polnej.

(Temat do powieści).

Na granicy Serbji i Sławonji, w pobliżu miejscowości Biskupec, samotny stoi kurhanek, bez krzyża i napisu, a na nim kwitną róże polne, i nikt tam nie wie, ani te ptaszęta, co wysoko szybują w wiecznie pogodnym lazurze, ani motyle barwne, pszczołki, muszki, które brzęcząc wciąż się unoszą nad krzakiem róży i co dnia z jej kwiatów miód słodki zbierają, że ta róža wyrosła z serca cyganki-poetki, z serca Giny Ranjicić...

Znanemu badaczowi cyganów Wislockiemu, doniesiono przypadkiem, że w bandzie koczujących cyganów znajduje się poetka, która pieśni układa, jakich dotychczas nikt jeszcze nie śpiewał wśród wędrownego plemienia cyganów. Uczonemu folklorystyście w to mi graj; niezwłocznie puścił się w drogę, nie pierwszy raz bowiem włóczył się z gromadką cyganów, dnie i noce spędzając pod płóciennym szałasem. Znał ich język, obyczaje, wielu z nich znał z wędrowek dawniejszych osobiście; przyjęli go serdecznie, z otwartymi rękami.

Tam poznał Ginę. Wiedźma stara o twarzy pomarszczonej i dużych, czarnych oczach, nędzne szmaty otulały jej wyschłe ciało, nie zachowała ani śladu onej piękności niepospolitej, którą jaśniała przed laty. Lecz kilka słów, zamienionych przy pierwszym spotkaniu, zdradzały i umysł niepospolity i wykształcenie niezwykle, zwłaszcza w takim otoczeniu.

Wieczorem, gdy tabor usnął, długo w noc gwiaździsta, przy dogorywającym ognisku siedział uczony i stara cyganka. Ona końcem wędrownego kosztura grzebała w gorącym jeszcze popiele, coraz to nowy węgiel czerwony wydobywając na powierzchnie. Jej życie niegdyś tak jasno płonęło, aż się własnym strawiło ogniem; została garść popiołów i tych kilka żarzących się węgli — wspomnień...

Rewolucja węgierska rozpełtała się na dobre, krwawą pożogą zalała kraj cały. Kto żył za oręż chwytął, wszędzie rozgardjasz wojenny, zbrojne oddziały wszędzie. Węgrzy zmuszeni byli wojnę na dwa fronty prowadzić: z jednej strony austriacy, z drugiej — Jellacić ze swymi chorwatami. W pobliżu Varasdina naprzeciwko siebie stanęły dwa wrogie obozy. W noc ciemną, gdy umilkły strzały, wazkim przemykiem, który dzielił dwa wojska, przekradała się banda cyganów. Przed sobą pędzili stadokoni, które zabrali z pastwiska wojskom cesarskim, wprzód krzywymi nożami przyszpiliwszy do ziemi uśpione strażę. Teraz co tchu należało umykać ku serbskiej granicy, tam czekał świetny zarobek, tu kula, lub stryżek. Podczas szalonej ucieczki rozpiechli się, a gdy się potem w bezpiecznym miejscu zebrali do kupy, brakowało dziecka jednego. Dziesięcioletnia Gina, błądząc i zebrząc, nieraz przymierając głodem, szła od wsi do wsi, od miasta do miasta. W Carogrodzie podniosł ją z bruku sędziwy Joachim Dalenes, ormianin, i do swego wziął domu. Wkrótce pokochał dziewczynkę jak swoją, posyłał ją do szkoły ormiańskiej,

potem wziął dla niej nauczyciela, od którego się nauczyła kilku języków, czytać i pisać, i mnóstwo innych rzeczy. Lata mijały, z pączka rozkwitło cudowne kwiecie. Pewnego dnia stanął przed nią młodszy brat Joachima, Gabrijel, i spytał: „Chcesz być moją żoną? Zamieszkamy w tamtym pokoju; będziesz panią tego domu“.

I zamieszkała z nim w tamtym pokoju i była panią domu, ubierała się w cudne szaty wschodnie, mąż rozkochany zasypywał ją cennymi podarunkami, lub znosił jej słodkie bakalje tureckie. Pieszczona żyła, nie wiedząc co to troski, złoto rzucała garściami pełnemi, lecz serca niespokojnego ani bogactwy, ani pieszczotami ujarzmić nie sposób. Gdyby Dalenes przeczytał wierszyki, które wtedy już z nudy układała w narzeczu cygańskim, niezmiernieby się zdziwił, o kim to śpiewał jego słowiczek:

„Gdy po raz pierwszy cię ujrzałam, byłeś dla mnie zorzy porannej blaskiem. Dziś wierzę, że południe mi się rozplómię, kiedy ty, jedyny, na zawsze będziesz ze mną“.

I przyszedł on... piękny jak bóg słońca, gorący jak żar południa, przemówił drwiąco:

„Będziesz tu żyła ze starym mężem? Chodź ze mną w białe góry mojej rodzinnej Albanji“.

Nazajutrz, gdy sędziwy Joachim wszedł do pokoju brata, ujrzał go w łóżku w kałuży krwi, z podciętem gardłem. Z biurka jego znikły pieniądze i kosztowności.

W tym samym czasie Gina i jej „Kipetare“ na dzielnych arabskich biegunach daleko po za sobą zostawili Carogród; wśród dzikich gór byli w bezpieczeństwie.

Kto dokonał krwawego czynu? Czy Gina wiedziała o zabójstwie pierwszego męża? Prawdopodobnie było to dziełem młodego albańczyka. Gina aczkolwiek nie umaczała rąk swych we krwi, przecie prawdopodobnie wiedziała o wszystkim i ułatwiła kochankowi kradzież kosztowności Dalenesa. W jednym z wierszy, pisanych w owym czasie, skarży się, że: „radość jej jak motyl wkoło lata, nigdzie niema spokoju; radość jej jak motyl trzepoce się w krwawej piersi męża, stamtąd do jej piersi wraca — gąsiennicą. Nikt z serca jej nie zdoła wyrzucić szkaradnego robaka“.

Mimo to wesołe było życie wśród dzikiej wolnej przyrody, u boku ukochanego, który był „najpiękniejszy z albańskiej młodzieży“.

Ów „Kipetare“ eskortował karawany bogatych kupców, broniąc ich niby przed napadami górali, za co hojnie otrzymywał wynagrodzenie, sam jednak był w ciągłym pozozumieniu ze zbójcami i niejednego kupiec, który mu życie i mienie powierzył, znikł bez śladu wśród dzikich gór albańskich. W takich razach „Kipetare“ zasypywał drogimi podarunkami swą gołąbkę, pieścił ją i kochał nad życie. Ona też w stroju albańskim, na dzielnym rumaku, towarzyszyła mu stale, dzieląc wszystkie jego przygody. Życie jej rozkwitło „jak drzewo na wiosnę; wśród gęstwy, a kwiecica samotny szeleścił jeden listek zwiędły, jesienny — wspomnienie...

Bogata była natura cygańskiej poetki, pełna nastrojów odmiennych, pełna nieobliczalnych kaprysów. W napadzie tęsknoty zażądała widzenia się z matką i krewnymi cyganami. Długo opierał się „Kipetare“, nareszcie po burzliwej scenie, gdy sztyletem ranił kochankę w policzek, musiał ustąpić. W tym celu zostawił Ginę w Adrjanopolu, sam się puścił w drogę do Serbji na poszukiwanie owych cyganów.

Było to niełatwe zadanie: dni i miesiące mijały, opuszczona poetka układała piosenki tęskne i jednocześnie... używała swobody. Podczas jednej z takich przelotnych awantur miłosnych okradziono ją do szętu. Pozbawiona wszelkich środków, naprawdę zatęskniła, i sama, pieszo, w swych nędznych łachmanach, które jedynie jej pozostały, puściła się w drogę, by odszukać swego „Kipetare“. Na szczęście spotkała go niebawem, kilka mil od Adrjanopola. Za nim ciągnęło obozowisko cyganów.

Radosne było spotkanie Giny z jej rodzicami i krewnymi po 10-ciu latach rozstania. Dumna też była ze swego „Kipetare“, który znowu ubrał ją w najcenniejsze szaty, zasypał klejnotami, upojony miłością, każde uprzedzał jej życzenie.

Cyganie rozpięli swe namioty i rozpoczęło się życie bez troski o jutro, naturalnie na rachunek hojnego albańczyka. Po miesiącu ciągłej hulatyki dokuczali mu do żywego jego „ukochani krewniacy“, w tym celu, aby się prędzej pozbyć, podarował im wspaniałe rumaki, jakich nie posiadał król Milan, 600 sztuk nierogacizny i mnóstwo złota i cennych szat, byle tylko precz poszli do Serbji. Lecz Gina upodobała sobie życie pod namiotem, potężnie obudziła się w niej krew cygańska; pełna pogardy odwróciła się od swego „Kipetare“ i poszła do Serbji z bandą cyganów.

Z początku nie odczuła goryczy rozstania, zwłaszcza, gdy ją pocieszał młody Piotr Ranjicić. Niebawem jednak strwoniono kosztowne dary albańczyka, konie i bydło sprzedano, i nędza zawitała pod szalas cygański, a z nią tęsknota w sercu Giny.

Bez pożegnania i bez żalu, cichaczem wymknęła się z obozowiska, a gdy po kilku dniach uciążliwej wędrówki ujrzała białe wierzchołki gór albańskich, znowu radośnie serce jej zabiło. Przedwczesne było wesele, daremna nadzieja; niebawem dowiedziała się, że jej „Kipetare“, chroniąc się przed wojskiem tureckim, uciekł do Włoch — z inną dziewczyną. Złamana na duszy i ciele, postanowiła go jednak szukać choć na krańcu świata, wtedy też napisała prześliczny wiersz: Kiedy płacząc szedłam do Włoch...

Dwa razy wzdłuż i w poprzek pieszo zmierzyla Włochy i Sycylję, szukając swego Kipetare, nareszcie znalazła... młodego żyda rumuńskiego, niezwyklej urody. Jakób Hornstein posiadał wielki interes win w Sycylji; był to człowiek niezwyklej inteligencji i wykształcenia. W swym cudownym pałacu potrafił otoczyć ukochaną nietylko bogactwami, lecz i owym wykwinem, który daje tylko wyższa kultura. Z nim razem odbywała dalekie podróże; z takiej wycieczki z wybrzeży północnej Afryki przywozła raz u pewnego młodego cygana-chłopa, Piotra Kandalidisa. Hornstein poznał się

niebawem na wybitnych zdolnościach Giny, począł ją zachęcać do pracy twórczej; w jego bogatej bibliotece znalazła obfity pokarm duchowy; z namowy Hornsteina przetłómaczyła szereg poezji francuzkich i niemieckich na język rodzinny, napisała też kilka oryginalnych nowelek z życia cyganów. Lata mijały w niezmaconem szczęściu i miłości. W tym czasie ów chłopak-lokajczuk Kandalidis urosł na pięknego młodziana. Cygańska etyka Giny pozwałała jej zawiązać z nim lekki stosunek, mimo szczerej i głębokiej miłości, którą czuła dla Hornsteina. Lecz Hornstein odmienne miał poglądy i nie wszczynając kłótni domowej, wysłał cygana z powrotem do Afryki, obdarzywszy go hojnie. Gdy Gina dowiedziała się o wyjeździe swego rodaka, gwałtownie zaczęła domagać się jego powrotu. To jednak wzmocniło jeno podejrzenie Hornsteina. Chłodny spokój i wyrozumiałość kochanka przepełniła miarę. Gina opuściła skrycie dom jego.

Dnia trzeciego rybacy nawpół żywą wyratowali z morza. Żelazny organizm nie zdołał przenieść bezkarnie tych wstrząśnień: Gina zapadła w ciężką goączkę, a gdy po kilku tygodniach podniosła się z łóżka, piękność jej znikła niemal bez śladu. Mimo to wierny jej przyjaciel nie opuścił w niedoli, kochał i pieścił jak wprzód, lecz i jego wątłe zdrowie strawiło się przy ogniu cyganki: po sześciu latach wspólnego pożycia zgasł na rękach kochanki, błogosławiąc jej w chwili skonania.

Wtedy Gina pisała, że „cierpienia płyną ku niej zdaleka z jękiem, niby fale morskie“.

Po śmierci Hornsteina zjechali się jego krewni ze wszystkich stron świata: z Francji, Niemiec, z Rumunji i Afryki. Gina została uwieziona pod zarzutem trucieliństwa.

Śledztwo sądowe wykazało całkowitą jej niewinność; po trzech miesiącach wypuszczono ją na wolność i wręczono dziesięć tysięcy austriackich dukatów, które jej zmarły testamentem przekazał.

Wierszyk pełen rzewnego nastroju nad grobem ukochanego — i dalej w świat! Przecie w tych żyłach płynęła krew cygańska. Odwiedziła swych krewnych w Serbji, lecz długo na ten raz nie mogła wytrzymać pod namiotem; zostawiwszy hojne dary, wyjechała do Paryża, o którym za życia cuda jej opowiadał Hornstein.

Kilka lat w szalonym wirze życia paryskiego, kapitał był strwoniony i długów bez liku. Cygankę bezdomną policja wysłała do Serbji.

Tu kończy się świetny, awanturniczy okres życia Giny; rozpoczyna się drugi: dwadzieścia lat tułaczki z bandą cyganów, w nędzy i poniewierce, bez dachu nad głową, często bez kawałka chleba.

Jedynym może promykiem w ciężkiej niedoli życia szarego był ten uczony Polak, który przyszedł do niej, nędznej żebraczki. Zrozumiał ją, odczuł jej piękną duszę, zachwycał się wierszami, za które spotykały ją jeno drwiny nawpół dzikich ziomek. A może... może w dalekiej przyszłości ukazał jej nagrodę, dla której nie żał życia zmarnowanego, cierpień, tułactwa, zawodów — wianeczek nieśmiertelny dla pierwszej poetki cygańskiej.

Odtąd Wisłocki nie wypuszczał z oczu Giny. Po kilku miesiącach jednak — a było to wiosną 1891 r. — otrzymał wiadomość, że cyganka żyć przestała.

Za kilkadziesiąt koron odkupił od krewnych spuściznę: trzy zeszyty, w których zapisała przeszło dwieście poezyj.

Ostatni wierszyk poświęciła Wisłockiemu. Przeczuwając bliski swój koniec, pieśniarka cygańska mówi, że z serca jej, co tyle kochało, na jej grobie rozkwitnie cudny krzak róży polnej...

Wonnejszy niżeli krzak róży, co kwitnie na grobie opuszczonym, zbiór jej piosenek, które uczony wydał starannie, wraz z życiorysem Giny.

J. Obst.

Z pieśni Giny Ranjicić.

Opuszczona, tęskna, marzę...
Smutne dni zasnęła dal,
Na obczyźnie obce twarze,
Obce skargi, obcy żal...

Co mnie trapi, co mnie gniecie,
Jest półjawem, napół snem;
Nikt nie pojmie na tym świecie,
Co się dzieje w sercu mem.

Czy-m ja nędzną jest grzesznica,
Co uciechy budzi szal?
Czy snów tylko rozdawnicą,
Które powiew ranków zwał?...

Mówią mi, że miłość pono
Zdolna w serca szczęście łać...
Uśmiechami mnie darzono,
Nikt miłości nie chciał dać...

* * *

Czy znajdę kiedy szczerą miłość jasną,
Czy mi rozkwitnie jej płonące kwiecie?...
Nikt nie odpowie na to, nikt na świecie.
Zgaśł ukochany i marzenia gasną.

Chcę odejść w pustkę, gdzie niema nikogo,
A iść nie mogę, bo więzi mają wolę
Pamięć na cichą tę mogiłę drogą,
Gdzie ukochany śpi w głębokim dole...

Oto samotna wspominam i płaczę,
Że w nicość spadły, skry miłości mojej...
A coś mi nowe pragnie dać rozpaczę,
Coś marą szczęścia ludzi mnie wciąż może
I w dal pociągać znowu na bezdroże...
Cygąńskim dzieckiem jestem bez ostoi.

Tłumaczenie B. Kutylowskiego.

Ze starych szpargałów.

Z pisemka, mało znanego nawet naszym bibliofilom, które wychodziło [od r. 1830 w Petersburgu w języku polskim p. t. „Bałamut“ podajemy kilka obrazków, charakteryzujących życie nasze na początku ubiegłego wieku.

I. Szkolne czasy.

Oto niektóre wiadomości o ś. p. jezuickich szkołach (w Połocku) takimi je z wychodzącego tam niegdyś miesięcznika i własnych moich wspomnień zebrałem.

Naprzód wypisać tu muszę porządek wszy-

stkich klas z właściwymi ich nazwiskami. Przedwstępna do 1-szej nazywa się *parva*, 1-sza kl. *infima*, 2-ga *grammatyka*, 3-cia *syntaxyma*, 4-ta *poezyma*, 5-ta *retoryka*. Dalej osobno *logika*, osobno *filozofia* i osobno *teologia*.

W roku 1800 używano w nich dzieł samych prawie łacińskich 1) *Alvari de institutione grammaticae libri tres*, 2) *Institutiones artis poeticae*, 3) *De arte rhetorica libri quinque* i t. d.

... W klassach miejsce w kształcie konfessionału zrobione, gdzie siadywa professor, mianuje się katederką. Na dzwiczkach do niej, pulpitem opatrzonych, leżą: dyscyplina pięciopalczysta i smagły bizunek. Pod ławką kilka pęków różek. Po środku wolny przechód. Prawa strona ławek jest „grecką“ (*pars graeca*), lewa „rzymską“ (*pars romana*). Koło pieca tablica. Za nią pieniek. W pierwszej ławce, na początku siedzi *princeps*, drugi po nim *viceprinceps*, za tym *auditor auditorum*, dalej inni urzędnicy klasy, naresztę prosta gawieź i azynusy.

Princeps w 1-szej klasie nosi gatunek jezuickiego orderu na wstędze czarnej, w 2-jej na czerwonej, w 3-jej na błękitnej.

Wicepryncypowie mają srebrne medaljony. W takich dekoracjach prezentują się tylko szkołom i kościołowi. Po każdej zaś lekcji i po mszy składają te ozdoby u professorów.

Między *primo* i *secundo* na pół godziny przed przyjściem profesora, uczniowie recytują lekcje swoim audytorom, a ci wydają głównemu, audytorem audytorów zwanemu. Dwóch cenzorów szkolnych przestrzega cichości, trzeci jest kościelnym.

Prócz tych jest cenzor ochędństwa, który przeziiera każdego: czy jest uczesany, umyty, czy ma paznogie u rąk obcięte, czy z uszu gnój wybrany i t. p. Inny do tek: rewiduje, czy w nich znajdują się: alwar, dwa raptularze zszyte, oberzniete i polinowane i trzy éwiarteczki papieru osobno, pięknie oberzniete z marginesami po obu stronach załamanemi i na koniec trzy pióra zatemperowane: jedno dla siebie, drugie dla przyjaciela, a trzecie dla złodzieja i kałamarz.

Zadzwoniono *secundo*: wchodzi *Reverenda pater* (tak student nauczyciela mianuje) i po odmówieniu modlitewki, siada w katedere. Przegląda podaną sobie przez audytora audytorów erratę i katalogi przetrzęsa. Zapytuje podług własnego wyboru uczniów o lekcję i stosuje bacznie swoje zdanie do zdania audytora. W czem jeśli się okaże fałsz jaki, strąca go z urzędowania, a czasem mu i *certum quantum* zaliczyć każe: zwłaszcza gdy będzie pomówiony o korupcję t. j. przedajność.

Skończywszy professor przesłuchiwanie lekcji i wyznaczwszy z Alwara (stąd do póty) następną, dyktuje *scholastykę*. W każdym tygodniu jeden dzień przeznaczony na utarczki, że tak powiem scholastyczne. Wszyscy uczniowie natenczas przynoszą z sobą do klasy *lokucje* i przed obliczem samego *Reverendypatra* wyzywają siebie na wzajem ze strony Greków i Rzymian środek, gdzie Rzymianin zadaje Grekowi *lokucję*, t. j. mówi doń z seksterna po polsku, a ten mu po łacinie odpowiada. Ten ostatni odstrzeliwa potem pierwszemu, i tak

następnie parami wychodzą dalsi i z sobą się ucierają. Sam professor notuje liczbę błędów i obwieszcza zwycięzców. Nareszcie, zebrawszy sumę omyłek jednej i drugiej strony ławek, ogłasza ostateczny wyrok „że dziś np. *pars romana* pokonała *partem graecam*. Wówczas odgłosy radości wznoszą się pod sklepienia szkoły, rozszerzają się po korytarzach, i na dziedzińcu, zamieniają się w szczytki pod nos dla upokorzonej partji, w kuksy i czuby nawet.

Ale nadechodzi Sobota, zwłaszcza po południu: godzina stanowca i straszna! Jest to czas poświęcony na zmazanie wykroczeń całego tygodnia. Przejierają się *in summa* wszystkie katalogi i errata. Potępieni wywołują się na środek, i, pojedynczo kolejną, dwaj a czasem i czterej barczyści potrzymacze, prowadzą za tablicę i kładą na pieńku. Siekacz wybrany do tej operacji powinien być silny, nadewszystko mieć szparką rękę. Jeżeli bierze w ręce różgi z rozkazu wyższego operacja nazywa się *kaszą*. Jeśli dyscyplinę pochwyci, zowie się to *makarorem*. Skazanych na bizun, sam *pater* musi operować. Gdy tak jednych szlochaniem, z rozmaitymi przygrywkami nosa i gardła, zajmuje, drudzy tymczasem obdzielają się nagrodą w *benemerytach* i obrazkach za utrzymanie się na urzędzie, za skromne zachowanie się w kościele i za całotygodniową pilność.

Takim to bywało sposobem hartował się umysł i ciało! Tak się kształciły części górne i dolne budowy człowieka. I gdy władze duszy młodzieńczej gryza, ledwie się nie zdławia, łacina, jak rzepa, w tym samym czasie władze fizyczne ciągle są w robocie i w elastycznych obrotach. Stąd cichość w klasie, godna podziwienia, stąd karność wzorowa.

Lecz *tempus tempi*, czas się skępi: trzeba raptularzyk kończyć. Powiem tylko cokolwiek, o niektórych zabawach studenckich. Najważniejszą rozrywką dla nich *matony*. Są to karty w liczbie 24-ch. Na pierwszej rysunek: Ezop na grubych i krótkich nogach, z garbem na plecach, w kapeluszu niemieckim, gra na basetli. Na drugiej podobna postać, z ogromnym nosem, gra na dudzie. Na innych: już to koń galopujący, już to baran, już to wilk, już to jama wilecza i t. d. Po rozdaniu kart, po trzy w ręce, z zostawieniem reszty na stole, jeden np. zadaje, drugi nie ma czem bić, ale ma konia: rzekłszy więc *saltando*, dobiera jeszcze dwie figury i tak wzmocniony uderza. Lub, pierwszy wyrzuca na stół barana, drugi wilkiem go zjada, a trzeci, mając jamę wileczą z radością do nieopisania krzyczy: *wilk barana zjadł sam do jamy wpadł* i sam wszystkie trzy zabiera. Gra się na obrazki, lecz tej gry, oprócz dui bachusowych, w całym roku używać nie wolno; a i w ten czas czatują dyrektorowie, żeby w pieniądze nie grali, żeby miódka nad miarę nie chlęstali, żeby z rozmarzoną imaginacją nie wpadli na połocki Olimp, co zawsze pachło *exluzją* (wypędzeniem ze szkół) *cum omni formalitate*, przypadkiem 50 dyscyplin w drobnej lub 25 bizunów odlewanych w grubszej monecie.

Łazarz Zaprzaniec.

O języku ojczystym i o potędze oświaty.

Kilka złotych myśli Karola Libelta.

Język jest wyższą duchową potęgą ojczyzny, niżli obyczaje. W obyczajach jest rozliczność, samą myślą narodowości w jedność ujętą. W języku już jest jedność rzeczywista, żyjąca słowem, brzmiaćca rozgłośnie, przemawiająca z duszy do duszy.

Mowa jest obrazem myśli i uczuć człowieka; język jest obrazem myśli i uczuć narodu. Jest to głos ojczyzny z jej serca i ducha wydobyty. Ojczyzna nim do swych dzieci przemawia i dziatwa rodzona między sobą nim przemawia i rozumieją się dzieci z macierzą. Uczucia jego brzmią wdziękiem głosu, którym urobił sobie głoski, a z nich, jak z tonów różnych, brzmi z wyrazów harmonja języka, a z mowy melodia jego—tak słodka dla ucha, tak wnikaćca w ducha powinowatego. Do języka staczają się wszystkie duchowe potęgi narodu, wszystkie jego myśli i uczucia. Po języku, jak po odsączonych warstwach ziemi, poznasz wiek i żywot narodu; poznasz jego charakter, jego stopień oświaty, odgadniesz nawet jego przeznaczenie i jego losy przyszłe.

Chcesz odwrócić od narodu niebezpieczeństwo upadku jego, nadaj wychowaniu młodzieży kierunek narodowy, a w takim wychowaniu środkiem niezbędnym i doskonałym staje się język narodowy, czyli ojczysty.

Zaprawdę, z rozbitej nawy narodowej, na jednej łodzi języka naszego możemy się ratować od zupełnego zatracenia. Umińnijmyż ten język, jako świętą krew matki Ojczyzny.

Zajrzyjmy głębiej, co jest język? Gdy dziecię się z jego wiadomością nie rodzi, musi być język utworem narodu, stanowiącego osobny szczep, lub pokolenie. Siła twórcza ducha człowieka naprzd się w tem objawia, że głos swój urabia na wyrazy, któremi myśl swoją wewnętrzną do zrozumienia oddaje. Wszystkie więc przyrodzone zdolności jednoplemieńców (rodaków) w tę siłę twórczą i do tego pierwszego dzieła duchowego zlewają się i język musi być odblaskiem ich wyobrażeń, ich myśli i uczuć, ich pojęć, ich całej potęgi ducha. Wszyscy genjusze z tego plemienia dały dań językowi swemu; jasne błyskawice ich ducha jaśnieją tym ogniem w języku. Cokolwiek naród miał wielkiego, to w języku swoim ojczystym złożył. I stąd to taka głęboka w nim mądrość, taka logiczność, taka filozofja, że człowiek zdumiewa się nad nią i prawie sądzić był skory, że sam Bóg języka człowieka nauczył. Zaprawdę, że nie kto inny, tylko Bóg był nauczycielem, ale Bóg duchem swoim w duchu narodu jednoszczepowego się objawiający.

Język nasz narodowy jest dziełem najszczytniejszem, mądrością czysto narodową, puścizną po talentach i genjuszach wszystkich wieków istnienia narodu naszego. Kto pogardza językiem ojczystym, — gardzi też ojczyzną swoją. A kto miłuje ojczyznę swoją, — ten też serdecznie kocha swój język narodowy — świętą mową polską!

Te narody nie tylko mają najwięcej szacunku u obcych, które innym w oświecenie prze-

wodzą, ale i u siebie godziwą, bo na rzetelnych zasługach opartą, dumą narodową wywołują i tem uczuciem silną ojczyzny swojej rozwijają potęgę. I my, Polacy, możemy spojrzeć z dumą na czasy Kazimierza Wielkiego, kiedy ten król chłopków kładł fundamenty akademii Krakowskiej (w roku 1364); jedną ręką podnosił mury i bogactwa Polski, a drugą kreślił jej prawa w Wislicy; — na czasy Jagiellonów, w których polska oświata podbijała rozległe ziemice Litwy; — na czasy Zygmunatów, owe złote wieki piśmiennictwa polskiego, w których oświata Polski sławą napęła całą Europę!

Postrzęź się narodzie i ratuj nieśmiertelnego ducha twojego. A gdy przekonasz się, że ten duch w oświacie złożony, całemi siłami, z całą usilnością rzuć się do oświaty. Pamiętaj,

że światło wszelkie ciemności zwycięża i rozprasza.

Jeden wąty płomyk lampy obszerne, ciemne więzień sklepienia rozświeca, a łuna zapalonego budynku na mil kilka w cieniach nocy widna. Podobnie w świecie moralnym jeden błysk rozumu chmury przesądów rozświecila, a pochodnia oświeci ci przeszłość.

Gdybys z oświaty nic więcej nie słyszał, jeno cześć i poszanowanie współczesnych i potomnych, zyskałbys już nieskończenie wiele, bo nieśmiertelność dziejową. Ale gdy pójdziesz drogą oświaty, gdy umiłujesz tę najszlachetniejszą cząstkę istoty twojej, to nie tylko dopiero po za grobem czeka cię nagroda. „Czyń, co możesz, a będzie, co może“, — jest wielkiem przysłowiem.

Dzieje pierwszego dziennikarza polskiego.

Żyjemy w czasach, kiedy prasę chrzci się mianem „potężnego mocarstwa“, które bez armat i aparatu państwowego rządzi światem, a jednak mało kto z Polaków nawet inteligentnych wie o tem, kto to był ten śmiałek, który u nas założył pierwszą gazetę dawno, dawno temu, bo już w roku Pańskim 1661.

Kto był twórcą tej polskiej pierwszej gazety?

Był nim Aleksander Gorczyn, księgarz krakowski, ruchliwy, przedsiębiorczy, światły i gorąco po obywatelsku czujący. A przytem typowy „nowinkarz“, umiejący przedziwnie pomysłowo zdobywać nowinki i opowiadać je.

Gorczyn zanim się zdecydował na wydawanie gazety stale wychodzącej, przeszedł przez okres długi wahań i namysłu. W końcu jednak przyszedł do przekonania, że po okresie istnienia blisko dwuwiekowego prasy ulotnej*) czas nadszedł i dla pracy dziennikarskiej, bo wszędzie tak bywało.

Umocniwszy się w wierze, że to co nazywamy dzisiaj ewolucją, wszędzie jednakową kroczy drogą, począł Gorczyn skrzętnie a wytrwale gromadzić materiał dziennikarski i skupiać koło siebie grono współpracowników, przeważnie korespondentów.

Jako wykształcony księgarz miał duże, rozległe stosunki i te rzucił na szalę powodzenia przyszłego swego pisma.

Dnia 3 stycznia 1661 roku, za panowania króla Jana Kazimierza, w redakcji, położonej w pobliżu kościoła św. Wojciecha w Krakowie (dziś kamienica Szobera na Małym Rynku), wyszedł pierwszy numer tego pisma, mającego być ziarnem gorzycznym z przypowieści ewangelicznej, które się w wielkie drzewo o rozłożystych konarach w przyszłości rozrosnąć miało. Ponieważ na języku ówczesnym znać bardzo silnie wpływy francuskie, a prasa o tyle jest warta o ile jest wiernem odbiciem chwili, więc

i tytuł pisma jest z francuskiego świata zapożyczony, a tam znów dostał się on dzięki wpływom klasycznym.

Pełny tytuł tej pierwszej polskiej gazety z zachowaniem ówczesnej pisowni podaje:

„Merkuriusz Polski
ordynaryjny
dzieje wszystkiego świata
w sobie zawierający
dla informacyi pospolitej“.

Pismo zapoczątkowane przez rzutkiego księgarza krakowskiego było tygodnikiem o zmiennej objętości od 4—8 kartek druku łączącym, czasem nawet więcej, zwykłego wówczas 4-go formatu, druk miało gotycki, styl rzecz prosta, zarażony chorobą wieku, a więc naszpikowane było suto makaronizmami. Pierwszy numer zawiera przedmowę redakcji, ujętą w formę indywidualnej apostrofy Gorczyna pod adresem czytelników wypowiedzianą:

„Nienaganą lubo nową rzecz dotąd w Polsce przedsiębiore, gdym umyślił wieku terażniejszego wiadomości przykładem obcych narodów, co tydzień do druku podawać, o ile zdolność moja zniesie, informować doskonale co się godnego wiedzenia, tak w oiczyźnie iako y po świecie wszystkim, a mianowicie w Europie y Chrześcijaństwie dzieie, rozumiać, że tą pracą moią (nietylko curiosis et politoribus ingeniis) wygodzę i usłużę, y coraz do uznania y uwagi rzeczy wielkich ad prudentiam civilem, ad consilia solida copienda, takimi wiadomościami drogę utworzę ale i t. d. i t. d.“.

Mamy też tam i wzmiankę o Opatrzności i oddanie Jej w opiekę nowego w piśmiennictwie polskim przedsięwzięcia.

Pierwszy numer pisma zawierał treść zwartą i jednolitą, gdyż poświęcony był opisowi „stanu Europy“, w następnych numerach pisma widzimy krótkie kronikarskie notatki: z Madrytu, Paryża, Rzymu i t. p.

„Merkuriusz Polski“, choć w pierwszym numerze miał barwę nieco kosmopolityczną, bo miał o rodzinnych stosunkach, mówił o poło-

*) Od XV wieku pojawiały się już u nas różne pisma ulotne, a więc: „awizy“, „nowiny“, a nawet „gazety pisane“.

zeniu Europy, zabiera głos żywotny w sprawach krajowych, a z tonu, jakim o tem pisze, łącno wywnioskować można, że go sprawy krajowe bardzo żywo obchodzą.

I tak: już w numerze 5-ym spotykamy rzecz bardzo na owe czasy aktualną i palącą, bo „listy chana do króla polskiego“. Inny numer zawiera znów szczegółowy i dla polskiej ówczesnej polityki zagranicznej ciekawy opis posiedzeń sejmu siedmiogrodzkiego. Prowadzenie pisma perjodycznego utrudnia Gorczyńowi w wysokim stopniu fatalny stan komunikacji, owe sławne „polskie drogi“, „polskie mosty“ oraz lichy pocztę, które powodowały długie opóźnienia numerów pisma.

Z początku „Merkuriusz“ jak każda nowość u nas, budzi ciekawość i pociąga tak, że z powodzeniem wytrzymuje on konkurencję z „pismami ulotnemi“ i „gazetami pisanemi“; do powodzenia tego przyczyniają się także i okoliczności zewnętrzne, bardzo sprzyjające, a mianowicie: dłuższa obecność dworu królewskiego w Krakowie.

Tak się bowiem dla młodego pisma szczęśliwie złożyło, że król Jan Kazimierz po zawarciu traktatu z Chmielnickim zjechał wtedy z dworem na czas dłuższy do Stolicy Jagiellonów.

Przez kraj cały po burzliwym i krwawym okresie „ognia i miecza“, powiał łagodny a upragniony dech pokoju, przelotnego zresztą, ale niemniej skwapliwie powitanego, który to pokój przyczynił się do zbudzenia tętna dość ożywionego umysłowego ruchu.

Taka zmiana nader korzystnie odbiła się na początkowym istnieniu pisma.

Jak dalece pobyt dworu królewskiego w Krakowie wpłynął dodatnio na ożywienie ruchu umysłowego tamże, posłużyć może przykład następujący:

Oto, gdy interesy państwa powołują króla do Warszawy, wyjazd dworu królewskiego tak poważnie podrywa byt młodego pisma, że skłania to ruchliwego redaktora do przerwania się z Krakowa do Warszawy.

Jadnakże nie wiele na tem zyskuje, bo te przenosiny do Warszawy przypadają już na początku tego zastoju umysłowego i apatii, w jaką zwolna niby w grzędzie bagnisko pogrąża się ówczesne społeczeństwo polskie po dopaleniu się ostatnich łun złotego wieku.

Gorczyń, jak na rzetelnego pioniera przystało — pragnie przezwyciężyć ten bierny opór ciemnego otoczenia, z wytrwałością ideową walczy z nim, rzuca na szalę swą wiedzę, pracę, wielkie agitacyjne uzdolnienie, wreszcie całe swoje mienie, a nawet, wierząc w ostateczny triumf zapoczątkowanego w tak trudnych warunkach pisma, zaczyna dla przedłużenia jego istnienia zaciągać długi, przerzuca znów po jakimś czasie redakcję pisma do Krakowa.

Tam następuje przepowszedni koniec śmiałego pioniera publicystyki polskiej, bo wierzyciele urządzają pościg za zadłużonym redaktorem i na mocy wyroku sądowego uzyskują osadzenie Gorczyńa w więzieniu za długi.

Po jakimś czasie z więziennej przymusowej bezczynności, strasznej do znoszenia dla natur przedsiębiorczych i bujnych — uwalnia go filantropijne stowarzyszenie: swobody jednak niedługo już używa, bo po wyjściu z więziennego lochu szlachetny marzyciel, widząc gruzę swego gorąco umiłowanego dzieła — umiera wkrótce w nędzy.

Los tragiczny pierwszego publicysty polskiego powoduje upadek „Merkurjusza“ i na całe dziesiątki lat odstrasza naśladowców od podejmowania w Polsce 17 wieku wydawania stałego pisma.

Minie lat 60 i po epoce mroku pojawia się zorze tej epoki, co nam wydała reformatora szkolnictwa narodowego, Pijara, Stanisława Konarskiego. Oto w r. 1729 pojawi się druga podstawa dziennikarstwa polskiego. Powstaje „Kurjer Polski“, redagowany przez światłych księży Pijarów, i ten już nie upadnie.

„Merkuriusz Polski“ powołany do życia twórczą, światłą wolą jednostki, redagowany przez nią w niezmiernie trudnych warunkach przez lat 7, przypieczętowany jej bohaterskimi wysiłkami, jej nędzą „hardą i górna“, jej śmiercią przedwczesną, stanowi piękną gwiazdę przewodnią dla ideowej publicystyki polskiej po wsze czasy. Wszyscy dostojni publicyści polscy mają prawo być dumni z takiego poprzednika.

I dziś, rozczytując się w tych pośólkłych kartach pisma, wyczuwamy gorące serce obywatela-humanisty, spóźnionego w tej epoce, co pragnął naród swój upodobnić do innych, wprowadzając do jego życia umysłowego tak potężny bodziec, podniecający jego rozwój kulturalny i intelektualny, jak prasę stałą, informującą cały naród o przejawach bieżącego życia i wskazującą linię rozwojową całym gromadom ludzkim, po której, idąc wytrwale a zgodnie, wcześniej czy później wydrą tajemnicę przyrody, a w dziedzinie ducha i umysłu osiągną poznanie, które im nada dostojny stygmat człowieczeństwa.

Tego pragnął dla swych ziomeków ów śmiały, który w bohaterskim porywie rzucił pierwsze ziarno pod siew przyszłej codziennej prasy polskiej.

Zmiażdżyła go obojętność ogółu, a w pewnym stopniu i wybitna prawość, bo wszak Gorczyń mógł utrzymać swoje pismo nawet w tych niesprzyjających dla ruchu umysłowego a burzliwych pod względem politycznym czasach, mogłoby to być, gdyby miał kark mniej hardy, myśl mniej krytyczną, sumienie obywatelskie mniej wrażliwe, a dłonie na jurgieltnicze dukaty chciwe.

Ale Gorczyń chciał mówić do społeczeństwa od siebie tylko. Nie poszedł więc w służbę do żadnego magnata ani stronnictwa, i oto za tę jego przedwczesną niepodległość ducha, społeczeństwo ówczesne niegodne takiego męża, ukarało go — nędzą, więzieniem i burzeniem jego umiłowanego dzieła.